

Żeby dziecku było łatwiej...

To moda, która zawsze skłania mnie do myślenia. Ułatwianie dziecku wszystkiego. Brzmi dobrze. Ale czy na pewno?

Nie wiem komu bardziej zależy na tym, żeby dziecku było łatwiej. To swoisty wyścig między rodzicami a producentami rzeczy dla dzieci. Ale czy rzeczywiście o to chodzi, żeby dziecko nie napotykało na żadne trudności? Przecież dzieciństwo jest czasem nauki życia w dorosłym świecie. Czy dziecko, któremu się ułatwia absolutnie wszystko będzie w przyszłości samodzielne? Czy poradzi sobie później bez tych wszystkich ułatwień? Będzie wytrwałe, czy będzie się zniechęcać z byle powodu?

Pytania można by mnożyć. Przyjrzyjmy się tylko ubraniom. W ciągu ostatnich dwudziestu lat, z ubrań dziecięcych praktycznie zniknęły guziki, sprzączki, sznurówki. Przecież żeby dziecku było łatwiej, buty zapina się na rzepy. Paski ze sprzączkami (dawniej były przy sandałach, paskach do spodni) zostały wyparte przez rzepy i gumki. Rzadko które dziecko przedszkolne chodzi w bluzce koszulowej (zapinanej na guziki), raczej są to koszuli ubierane przez głowę. Zdarzają się jeszcze zapinane bluzy, swetry, czy kurtki – ale znów nie ma guzików – w najlepszym wypadku jest zamek błyskawiczny.

Producenci zabawek wymyślają wciąż nowe patenty, żeby dziecku było łatwiej: klocki które bardzo łatwo się łączą i rozdziela, zabawki przy których nie trzeba myśleć.

Rodzice szukają więc smoczków z większą dziurką (żeby dziecku było łatwiej), butów na rzepy (bo przecież sznurówki się plączą i dziecko może sobie nie poradzić), co „zaradniejsi” wożą czterolatki wózkami (żeby się przypadkiem nie zmęczyło chodząc), wyręczają w ubieraniu, myciu, pakowaniu do szkoły...

Teraz rzućmy okiem na te ułatwienia od strony skutków, jakie faktycznie przynoszą dzieciom. Dziecko obsługiwane od stóp do głów – nie uczy się samodzielności. Przyzwyczajają się do wyręczania i oczekuje go od wszystkich. Jest mu wygodniej być obsługiwanym, niż pomęczyć się i samodzielnie się ubrać, czy zjeść. Jego ręce są jak z galarety, niezdolne do ugniecenia plasteliny, czy zastrugania kredki.

Larum zaczyna się w szkole, bo nie potrafi trzymać ołówka, ręka się męczy po postawieniu kilku znaków szlaczka. Litera są koślawe, bo po zapisaniu połowy linijki ręka aż boli ze zmęczenia. Na wycieczce szkolnej jest płacz, bo trzeba chodzić piechotą. Nastolatki padają ze zmęczenia po przejściu kilometra, a chodzenie po drodze gruntowej (np. szlak turystyczny w pagórkowatym terenie) to katorga. Jeżeli jeszcze dokuczają muchy lub komary – to już prawdziwa szkoła przetrwania.

Zawsze się zastanawiam, jak takie mimozy będą żyć. Czy będą w stanie cokolwiek ugotować, pomalować mieszkanie, pracować? Oczywiście, można studiować zarządzanie i marketing. Ale kto będzie stolarzem, krawcem, kucharzem? Czy do ustawienia mebli będzie trzeba za każdym razem sprowadzać dźwig? Pewno tak, bo trzeba będzie zadbać, żeby (dorosłemu już) dziecku było łatwiej...

mgr Barbara Piech